

Tygodnik,

28 *Lutego* — 9. — 1818.

KOBIETY.

poema oryginalne.

(Ciąg dalszy).

Dziécię! (potrafięż obraz wystawić tak tkliwy?)
Z piersi matki najpiérwsze ciągnie pożywienie,
Na ten drogi jéj przedmiot spuszcza wzrok szczęśliwy;
I wznosi go ku niebu na znak dziękczynienia.

Swięta czułości matki! o natury darze!
Najwyższy stopniu szczęścia śmiertelnym odkryty!
Swiat cały jest niegodny stawiać ci ołtarze,
Godną ciebie Swiątynię masz w sercu kobity.

Blisko Florencji, idąc za przodków zwyczajem,
Wieśniacy żniw skończonych obchodzili święto:
Zebrali się na łąkę leżącą pod gajem,
Tam wesołe zabawy i skoki zaczęto.

W tém słychać ryk okropny; lew z lasów wypada;
Na ten widok ucieka przelękniona tłuszcza,
Wśród zgiełku czuła matka, przerażona, blada,
Porywa dziécie, biegnie, i w biegu upuszcza.

Ogląda się, i już je widzi w lwa paszczęce,
Niebespieczeństwo syna czułość matki wzmaga,
Klęka przed lwem, wyciąga ku dziecięciu ręce...
Zdaje się lew zgadywać, że go matka błaga.

Patrzy na nią wzruszony, patrzy się łagodnie,
U nóg jéj z ostrożnością składa zdobycz drogą,
Widzi jak się dziecina uśmiecha swobodnie,
I powoli się wraca las napełniać trwogą.

Nieszczęśliwy! któremu już od lat dziecinnych,
Więcéj się tkliwa matka słodko nieuśmiécha,
Nie zna jej starań czułych, jej pieszczot niewinnych,
Stroni od jego serca radość i pociecha.

Widząc matkę z wesołą do koła rodziną,
Wzdycha; on tyle szczęścia nieznał od powicia,
Czuje smutne wzruszenie, łzy mu z oczu płyną,
Czuje że żył, zestarzał, a nieużył życia.

Wśród jęków które rodzi boleść niezniesiona,
Wśród mąk okropnych, matka daje na świat syna,
Lecz skoro moc miłości, ich srogość pokona,
Znowu dziecięcia woła troskliwość matczyna.

Któż od saméj kolebki jemu się poświęci?
Któż zechce w jego szczęście, szczęście swoje przelać,
Chęci jego zgadywać i dogadzać chęci?
Ozdabiać młody umysł i cnot mu udzielać?

Któż wzgardziwszy uciechy jakiemi świat mami,
W zdobieniu jego serca szukać chce słodyczy?
A co dzień się nad jego dziwiąc postępami,
Te chwile za najmilsze życia swego liczy?

Któż to, jeśli nie matka? Ojcowskiej czułości
Przyrodzenie powagę i stałość dodało;
Matka dla tego zbytek odkrywa słabości,
Że ma dobroci nadto, surowości mało.

Czuła Laura straciła dziécie ukochane,
W tem nieszczęściu ją ojciec pocieszać przychodzi,
Chce ugoić jéj serca niezgojoną ranę,
Sam płacze nad jéj stratą, jéj boleści słodzi.

I tak do łez otarcia córkę swą zachęca:
„Naśladuj Abrahama cnoty przykład rzadki,
„Bóg chciał od niego syna, ojciec go poświęca".
„Nie byłby tego -rzekła- Bóg żądał od matki"

Gdyby zaraza świata młodego popsuła,
Możeby ojciec w gniewie krwi własnej się wy-
Lecz skorsza do litości matka, bardziej czuła, (rzekł,
Przebaczy, byle tylko poprawić się przyrzekł.

Ojciec waży swą miłość na słuszności szali,
Zawsze słabość zbyteczną dzieciom ukryć szuka;
Chce żeby go kochając, razem się i bali;
Lecz matka umie kochać, to cała jéj sztuka.

Na niebezpieczną słabość zapadł Oleś mały,
Patrzmy na jego matkę. Przy kolebce syna
Dzień i noc smutna siedzi, łzy lice jej zlały,
Na krok go nie odstąpi, o śnie zapomina.

Na wszelkie poruszenia czuła i troskliwa,
Wyręczyć się w posłudze żadnéj nie dozwoli,
Sama pilnie lekarstwo w usta jego wliwa,
A mała dziecka boleść mocno matkę boli.

Lecz za to, jakąż wtedy czuje w sercu radość,
Gdy synek po chorobie odzyskuje siły;
Szczęście błyska w jéj oczach, spędza z twarzy bladość,
A im bardziéj był chory, tém bardziéj syn miły.

Lecz co dzień rośnie dziecię. Szczęśliwa, gdy zdoła,
Wywieść z ust niemowlęcych piérwsze słowo: Mama.
Późniéj ją wiek młodzieńczy do większych prac woła,
Matka nauczycielką i niańką jest sama.

Czasem gdy weźmie synka na swoje kolana,
Odpowiada na jego pytania niewinne,
Pieści się z nim, a cała dla niego wylana,
I myśli i obrazy rozwija dziecinne.

Czasem zajmie go jaką powieścią ciekawą,
W którą zawsze naukę zręcznie wsunąć umie;
A tak poważne rzeczy mieszając z zabawą,
Kształci go w wiadomościach, zdolności, rozumie.

Ledwie pojęcia jego dzielności nabiorą,
Czyta mu matka z dziejów przykłady wybrane,
Wielbi mężów, co byli Ojczyzny podporą,
I wpaja miłość kraju w serce młodociane.

Słucha chciwie jéj głosu syn pełen zapału,
Chciałby zrównać obrońcom ukochanéj ziemi;
Lecz czas zacząć nauki. Przykry dniu rozdziału!
Jak dręczysz serce matki myślami smutnemi.

Jednak córka zostaje, i żal matki zmniejsza.
Mniéj głośne przeznaczenie dostała w udziale,
Umysł jéj mniéj porywczy, dusza spokojniejsza,
Zdaje się mówić matce: „Ja się nie oddalę”.

Już od młodu dowodzi na co jest zrodzoną,
  Już przyszłą powinnością swoją zatrudniona,
Kołysząc w kolibeczce lalkę ustrojoną,
  Sobie matki, jéj córki nadaje imiona.

Ale wkrótce po wiosny szesnastéj upływie,
  Wzrasta czucie nięznane piérwszego kochania;
W milczeniu śledzi matka jéj skłonność troskliwie,
  A piérwsza przyjaciołka, piérwsze ma wyznania.

Nadchodzi dzień, gdy łącząc przez najświętszy związek,
  Przeznaczenie swéj córki, z męża przeznaczeniem,
Idzie matka najsłodszy spełniać obowiązek,
  I w ślubną szatę córkę przybiéra ze drżeniem.

To mimowolne czucie zdradza matki tkliwość,
  Próżno czekają na nią niepotrzebne stroje,
Najpiękniejszy strój matki jest córki szczęśliwość.
  W niego strojna, kochanków idzie łączyć dwoje.

Wspaniałość miejsca, odgłos organów ponury,
  Ta powaga kapłana, te wieków pamiątki,
Te woni i kadzideł wznoszące się chmury,
  Te palące się światła, te święte obrządki,

Myśl unosząc wzbudzają boskie zachwycenie.
  Matka, co niecierpliwie czeka na to słowo,
Którém nie śmiała córka przerwać ma milczenie,
  Jest niebu dziękczynieniem i ofiarą nową.

(Dokończenie nastąpi).

PRZYPADKI WOJENNE

Przyjaciela pokoju.

(Ciąg dalszy).

Zostaję Adjutantem Jenerała.

Karol W. czwartego dnia wieczorem wziął mię na bok. Dawno ja to już uważałem, że wielkie układał plany.

„Panie Doktorze! - rzekł do mnie głosem pełnym tajemnic, w wojnie można zrobić swoje szczęście. Już od lat ośmiu jestem Porucznikiem; teraz albo nigdy będę Jenerałem. Dowodzę dwóchset ludźmi. - Może mi się uda nim przebędziemy Odrę zebrać dwa tysiące, które Królowi przywiodę. Ale wprzód wsławić ich muszę. Wpadnę do Saxonji z moim korpusem, i z tyłu działać będę na nieprzyjaciela".

„Jakże! to nie wrócimy do Berlina? - spytałem się i westchnąłem przypomniawszy sobie opuszczoną Fryderykę.

„Nie, - ruszemy w prawo do Mittenwaldu. Doktorze! Urząd Kapelana nie dla ciebie. Bądź żołnierzem. Dam ci stosowany kapelusz, granatowy mundur, pałasz i konia, będziesz moim Adjutantem. Wiem że znasz matematykę, i że dobrze rysujesz. Będę cię mógł użyć przy rekognoskowaniu".

Nieśmiałem się opiérać. Na nic by mi się to nie zdało. Przyjąłem więc z podziękowaniem godność Adjutanta, bo mię wsadzała na konia, który mi mógł ułatwić widzenie się z Fryderyką. Przysiągłem na wierność Karolowi W. i zamieniłem rezygnowaną plebanją na miecz Piotra, - ale niemyślałem ja nikomu uszu obcinać.

Wódz naczelny jeszcze tego samego wieczora całą armją przeliczył, mianował nowych Kapitanów, Poruczników, Kaprali, przedstawił mię wszystkim jako przyszłego swego Adjutanta i wyłożył zdumionym rycerzom swoje plany olbrzymie.

,,Tak, towarzysze broni, - zawołał do nich z zapałem - już to nieodzownie wyryte w księdze przeznaczeń. Wielkiemi dzieły, na wielkie sobie zasłużemy imię. Jakże to bracia? czyliż chcecie w haniebną pójść niewolę? Wybierajcie: Zwycięstwo i sławę przed światem, albo straszną podróż do niewoli. Kto jest wiernym ojczyznie, niech razem ze mną zawoła. Zwyciężyć lub umrzeć".

Ta mowa zapaliła całe wojsko. Większa część wołała: zwyciężyć lub umrzeć, ale kilku którym jeszcze przypomniał się zapach rosbratlów Berlińskich, krzyknęli z komicznym zapałem, zwyciężyć lub uciec.

I Królowa Elźbieta była przytomną téj uroczystości. Można było wyczytać z jéj twarzy, jak ją dotkliwie bolało, że bez jéj porady ważny ten krok uczyniono. Raz po raz zażywała tabakę, kiwała głową,

uśmiéchała się szydersko, a w krótce zaczęła coś sobie mruczyć pod nosem.

Nazajutrz wyruszyło wojsko. Już byliśmy niedaleko Brandeburga.- Z Cesarską wspaniałością jechał Karol W. na czele. Ja na koniu trochę twardym w pysku, zabranym sposobem rekwizycji w ostatniej wiosce, towarzyszyłem wodzowi jako Adjutant. Po lewej stronie szedł szeroki gościniec do Berlina, po prawej błotnista dróżka sławy;- ile sobie przypominam to podobno do Mittenwaldu. My, to jest, Karol W i ja, nie zastanowiliśmy się ani chwilki na rostajnéj drodze i śmiało ruszyliśmy w prawo na gościniec chwały. Całe nasze wojsko szło za nami. Cug zamykała Markietanka z wozem. Gdy doszła rostajnéj drogi, zrobiła obrot wsteczny na lewo do Berlina.

Ledwie tylna straż ujrzała, że beczka z gorzałką obraca się na szeroki gościniec, nie mówiąc ani słówka udała się za beczką. Jeden sąsiad zaraził swoim przykładem drugiego, jeden po drugim obracał się w tył, i zostawiając nieśmiertelność po prawéj stronie szedł za toczącym się wozem, dopóki niezostaliśmy się sami z Cesarzem; on zagłębiony w planach wojennych, ja w żalu z opuszczenia kochanki.

Teraz niechże sobie kto wystawi bezprzykładny gniew Karola W, gdy przypadkiem poznał, że armja jego zniknęła, gdy spostrzegł jak powoli dąży za ukochaną beczką, gdy spostrzegł na czele wojowników swoich, Królowę Elżbietę siedzącą na beczce jakby

na tryumfalnym wozie, i śpiewającą głośno. Pijcie Bracia, póki staje.

Cesarz pienił się ze złości. Dojechaliśmy przeniewierczych towarzyszy. Cesarz zakomenderował: Stój, ale dopiéro wtedy usłuchali nas niekarni wojownicy, gdy Królowa Elżbieta swój wóz zwycięzki, jakby w tryjumfie lecący zatrzymać raczyła.

Teraz wypiorunował nasz bohater swoje gromiące Filipiki. Xenofonta i Plutarcha rycerze niemówiliby z większym zapałem. Zołnierze z uwagą i skruchą słuchali w pokorze, jednak uważałem iż raz w raz spoglądali ukradkiem na Elżbiety wóz czarnoksięski, bojąc się żeby im z oczu nie zniknął,

I prawdziwie sam niewiem coby się było nakoniec stało, mimo wymowę Naczelnika naszego, bo Królowa Elżbieta znowu zaczęła podejrzanym sposobem kiwać głową, gdyby nowy wypadek całéj naszéj baczności na siebie nie ściągnął.

Marsz z armją Karola Wielkiego.

Na Berlińskim gościńcu ujrzeliśmy z daleka tuman piasku, z którego jakby z jakiego piorunowego obłoku, wypadły pięć minut trwające gromy przekleństw. Po takim prelud jum poznaliśmy Oficera Dragonów, który się do nas temi słowy odezwał: „Co u sto fur beczek batalionów! Dokądże wy jedziecie: Bodaj się wszystkie kartacze rostrzasły. Francuzi już

są w Berlinie; trzeba doświadczyć, czy nam się nie uda przemknąć do Szląska.

„Co? przemknąć się?- spytał się Karol W.? Nie, nic z tego nie bedzie. Jesteśmy Prusacy, przerznąć się musiemy.

To *Bon mot* zamknęło usta naszemu Dragonowi, pokręcił czarny wąs, i z uszanowaniem przybliżył się do Naczelnika naszego.

„Jeżeli chcesz przyłączyć się do nas, i walczyć z nami w obronie ojczyzny,- rzekł Karol W. z powagą,- powitam cię jak przyjaciela, i oddam ci dowództwo nad całą jazdą (to jest dwóch Dragonów i i czterech Trębaczy) którą mam teraz pod memi rozkazami, i która jeszcze powiększyć się może. A teraz Bataljon! prawo w tył, za mną. Piérwszy kto się ośmieli obejrzeć na drogę do Berlina, będzie ogłoszony zdrajcą ojczyzny i powieszonym na najbliższym drzewie. Marsz".

Ruszyło wojsko naprzód ciasną ścieszką chwały do Mittenwaldu. Zaden się nie obejrzał na drogę do Berlina; nie tak z bojaźni drzew, jako raczéj z bojaźni Francuzów. Sama nawet Elżbieta pokornie szła za armją. I ona spadła ze szczytu chwały! Całe wojsko ogarnął smutek niewypowiedziany. Francuzi już w Berlinie? Skądże tak prędko? czyż z deszczem spadli?

I ja głowę zwiesiłem. Tak więc dostała się w moc nieprzyjaciela połowa państwa; stolica, i Fryderyka. Dobrze ona przeczuwała nieszczęście, gdy

przy pożegnaniu się mówiła: Ferdynandzie! już się nie zobaczemy!

Jak okropna zmiana rzeczy w kilku dniach! Niezgromione wojska Pruskie zniesione, moja narzeczona w mocy najgrzeczniejszego i najwaleczniejszego ludu na świecie; mój Mecenas oblężony w mieście, które już Tylli spalił, moja plebanja, Bóg wie gdzie, a ja spokojny Doktor Filozofji, *Magister bonarum artium*, Pastor w nadziei i t. d. nic z tego, tylko — Adjutant Karola W.

Bez żartu nie raz gdy tak sobie rozważam zmienność ludzkich kolei, i jadę koło mego Jenerała lub koło Wodza naszéj Kawalerji, gdy w żywej imajnacji wystawiam sobie obraz kochanej Fryderyki, albo moją literacką izdebkę, i gdy w tym nagłe potknięcie się mego Rosynanta, odkrywa mi te nieznane okolice Marchji, te obce wąsate twarze, to wojsko idące zwolna za nami, muszę się wtedy nieraz uszczypnąć, żeby się przekonać że czuwam.

Nie raz żałowałem, że nie mogę zamiast dzielenia wojennych przypadków, unieść się na skrzydłach miłości do Berlina. Cóż bowiem złego mogliby zrobić Marszałkowie Cesarza Francuzów biédnemu Nauczycielowi Sztuk wyzwolonych, który szczęśliwie jeszcze swoich zwycięskich pieśni drukować nie kazał. Ale wtedy jedna myśl godziła mię z nieszczęśliwym moim losem, nie żebym powątpiewał o stałości Fryderyki albo o wspaniałości zwycięzców, ale wspomnie-

nie suchot które coraz bardziéj czułem w kieszeni. - Za cóż żyłbym w Berlinie? - Prywatne moje nauki, pewnie już inny daje, a zwycięzkie rymy na nic mi się nie zdały. Jako Adjutant Jenerała, mam przynajmniéj darmo kwaterę i jedzenie; - a kto wie? - mawiałem sobie, do czego cię twoja wojenna karjera doprowadzi. Wszakże Moro *(Moreau)* był tylko prostym Patronem, on który potem jako wódz naczelny przez slawny swój odwrot zrównał Xenofontowi. A dla czegóż niemiałby Doktor Filozofji zadziwiać świata swemi odwroty?

Każdy zły wiatr o Francuzach, o których słychać było, że goszczą na Berlińskim gościńcu, pędził małą naszą garstkę coraz bardziéj ku południu. Mówiliśmy my wprawdzie często o przerznięciu się, ażeby się pokazać nieustraszonemi, ale najczęściéj szliśmy za radą naszego naczelnika jazdy, który przemknąć się radził. Tak krzyżowaliśmy drogę, jak byśmy doprawdy mieli plan przemknięcia się. Przez dwa dni robiliśmy marsz podwójny, a poczciwi wieśniacy donosili nam wiernie w jakiéj stronie widzieli Francuzów; i hojnie obdarzali nas pokarmem i napojem, i wszyscy radzili nam przebić się do Szląska, bo Francuzi byli już we Frankforcie nad Odrą.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).



Pies i Pszczoły.

„Jest to cnota nad cnotami,
„Trzymać język za zębami!"
Stare powiada przysłowie;
Wszyscy jednakże smakujem w obmowie,
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka!-

Raz pewien wyżeł i zgrabny i śmiały,
Wielki bajarz, wielki plotka,
Przy tém lizuś doskonały.
Proszony, czy nie proszony,
Latał na wszystkie strony;
Wiedział wszystkie zwady, sprzeczki,
Wszelkich skrytości dociekał,
Słowem, u wszystkich obgryzał kosteczki,
A po tém wszystkich oszczekał.-
Zdarzyło się kilkakrotnie,
Że nie cierpiący obłudy,
Nie jeden brytan sromotnie
Wypędził go z budy,
I jeszcze na drogę,
Dał mu po uszach przestrogę.
Lecz i w tém się nie poprawił,
Raz w raz plotki prawił.
Suczki z suczkami,
Psiarnie z psiarniami,
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił,
Cały porządek przewrócił.-

W tém raz szczególna ciekawość go wzięła,
Jakaś pokusa go bodzie,
Zajrzeć do ula który stał w ogrodzie,
Naprzód ostróżnie bierze się do dzieła,
Obchodzi, wącha, skrada się, przymyka,
Ale zaledwie nos wtyka,
Cała pszczół gramada
Z straszliwym brzękiem wypada;
Wyżeł w nogi, - lecz te w złości,
Tak go cięły bez litości,
Ta po brzuchu,
Ta po uchu,
Ta po pysku, ta po grzbiecie,
Że już nie wiedział o świecie.
W tém mu jedna w nozdrze wpadła,
I tém mu dojadła.
Szarpie się rzuca i wyje,
Nosem ziemię ryje;
Jęcząc, na wszystkie strony
Wykręca się i wywija,
Wreście leci jak szalony
I łeb o kamień rozbija.
I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,
Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,
I wszystkich czerni szkaradnie,
Prędzej lub poźniej w taką łapkę wpadnie;
Że będzie wzgardą i pośmiechem świata,
Taka to Wścibskich zapłata.

F. M.

Kawa pod Kopciuszkiem.

Kawiarnie i tym podobne miejsca publiczne, nie są tak dawne u nas jak w obcych krajach, nie są nawet tak dawne, jak się może komu zdawać, sądząc po ich liczbie w Warszawie. Pamiętam ja te czasy, kiedy ich mało, a prawie wcale nie było. Nie było bowiem osób coby miały na nie uczęszczać. Nikt w ówczas nie mięszkał w Stolicy, tylko Obywatele osiedli w swoich kamieniczkach, i więksi Panowie w pałacach, w których po dziś dzień, jeżeli nie ich osoby to przynajmniéj ich wysokie imiona mięszkają. Gdy zaś który Szlachcic wyrwał się ze swego zakąta, znajdował gościnność u JW. Dygnitarza swego Województwa. Może już powód do niéj nie był najczystszy, ale czegóżby nadużycie nie popsuło. Gościnność jedna z cech harakteru Staropolskiego, nie była jeszcze z miast wygnaną; niewstydzono się przestawać z niższemi w obawie uwleczenia stopniowi swojemu, pokazując się im równym, albo czasem niższym. Teraz przy rozszerzeniu Cywilizacji, gdy krzewiące się nauki a osobliwie Matematyczne, tak obszernie rozlały światło, iż od magnata do kmiotka, każdy pamięta, że ilość zero sama przez się nic więcéj nad zero wyprowadzić nie jest wstanie; teraz potrzeba miejsc publicznych gdzieby się obcy i nieznajomi Warszawie mieścić i bawić, mogli.- Przemysł Niemców, Włochów, i Francuzów, zaradził temu niedostat-

kowi.

kowi. Piérwsza prawie kawiarnia w Warszawie była niejakiego *Majerháfera* któremu przy końcu panowania August III za Saskim ogrodem mały plac darował, gdzie wdowa jego dotąd jeszcze mięszka. Nędzny to był początek, dwie małe i nikczemne izdebki, ale że były jedyne w swoim rodzaju przeto nie zbywało na odwiedzających. W kilkanaście lat potem, wsławiły się dwie porządniejsze kawy, Nejbertowej w domu przy drodze do łazienek Królewskich i Kolsonowej przy Wolskich rogatkach, a poźniéj na ulicy Długiej, które nawet od większego świata odwiedzane były. Odtąd jak szarańcze tworzyły się co chwila po mieście kawy, poncze, cukiernie i inne tym podobne, które równie trudno wyliczyć, jak i tych rozmaitych sposobów których tam do zwabienia gości używają. Skutek odpowiedział gorliwéj chęci. Na wzór owego lodowatego Petersburskiego pałacu, wznosiły się u nas kamienice z cukrów i lodów. Dzięki niezmordowanéj troskliwości owych przychodniów, po całéj Europie wędrujący Polak, już znane znajdzie przysmaki, a najwykwintniejsze Włochów i Francuzów wymysły nie będą go wcale zadziwiać; pojętnie przyjęliśmy gusta wszystkich narodów, zgoła nic nam nie jest obcego, gdy tym czasem pamiętam, jak *Mini Nestor* cukierników naszych, po dziś dzień rezydujący na Freta ulicy, przed trzydziesto i kilku laty, darmo rozdawał czekoladę (nowe na ówczas zjawisko powierzywszy

rozdraźnionemu do niéj smakowi ziarno do przyszłego żniwa ze stokrotnym zyskiem.

Mimo téj jednak rozmaitości i liczności miejsc publicznych, Kawa pod Kopciuszkiem, jest u nas rzeczą wcale nową. Piękność miejsca, położenie we środku miasta, ściąga do niéj więcéj osób niżeli gdzie indziéj. Podobne jéj założenia robiono do tych czas zwykle za miastem i na krótki przeciąg lata; ten dom równie w lecie jak w zimie otwartym być mogący, stać się może dla Warszawy tym czém pojedyncze kluby dla pojedynczych Obwodów Londynu. Jakoż zaczyna publiczność w niéj gustować. Oprócz przemijających się coraz osób, są już takie które regularnie tworzą tam Towarzystwa grających lub rozprawiających są takie które można uważać za sprzęty domowe, a w pewnych oznaczonych godzinach nawet za nieruchomości. Zlebym trzymał o malarzu, który chcąc wystawić zgromadzenie w kawie pod Kopciuszkiem, nie trafiłby jak najdokładniej twarzy tych osób.

Trzymaniem wielu pism perjodycznych i innych przyłożył się niezmiernie właściciel tej kawy do zrobienia jéj bardziéj odwiedzaną. Wszystkie stany czytającéj Warszawy, zbiérają się do niéj, każda sztuka, każde nowe dzieło musi tam być osądzone. Miło jest słuchać tylu zdań różnych, a które prócz nieznacznéj różności odcieniów zawsze prawie tak zgadzają się z sobą, iż je można brać za zdanie publiczne.

Wchodząc do Kopciuszka, ujrzałem kilka osób około stolika nad Gazetami siedzących. Dwie z nich

zaszły w dość zajmującą rozmowę; najwięcéj w niéj mówiły i najwięcéj różniły się w zdaniu. Powtórzę ich słowa, a jako zupełnie mi obce i nieznajome, oznaczę dowolnię literami *A* i *B*.

A. Jeszcze Dodatek! ale, przecież ich znajduję!

B. Kogo?

A. Ixów. Od tygodnia z największą niecierpliwością wyglądam co téż nam powiedzą o Mahomecie I nie, i nie, a przecie takiéj rzeczy jak Mahomet nie godziło by się pominąć. Przecię się odezwali.

B. Zbiegliśmy się na jedno. I mnie toż samo tu przyprowadziło. Ich zdanie podług mego widzimi się tak zupełnie włada opinją publiczną, że póki ich nie przeczytam, póty z moim wyrwać się nie śmiem.

A. Daruj że cię tu nie pochwalę. Co mówisz o Ixach jest poczęści prawdą; jednakże nie mam to za myśl buntowniczą zdaniem mojém uprzedzić ich zdanie. Widzisz Ixowie zgodzili się ze mną, lubo nie zupełnie. Ja bym większą oddał sprawiedliwość grze Aktorów, których ogień porywając słuchaczów mniéj ich na wady tłumaczenia bacznemi robił.

B. Jak z motyką na słońce, wyrywasz się z krytyką na tego, którego stopień w Literaturze już jest zapewniony.

A. Wysoko ja cenię tłumacza Mahometa, jako Poetę oryginalnego. Imie jego będzie żyło w pięknych Odach i pieśniach, ale zapewnie Glossatorowie poźniéjsi jego tłómaczenia tak Mahometa, jako i Ody do Radości z Szyllera, między Apokryfy policzą.

B. Powiedzże przecięż w czém tak przekład Mahometa znajdujesz niedokładnym. Przynajmniéj ja uważałem, że wiérsze są gładkie, i tłumaczenie wierne.

A. Istotnie wiérsze mogły by być gładkie, gdyby były z większym gustem pisane. W trajedji lubo wyższe uczucia są wystawione, powinny być jednak tak wysłowione, jak byśmy je wysłowiali, gdybyśmy byli na miejscu bohatyrów sztuki. Zachodzi tu w saméj rzeczy wielka trudność połączenia wysokości z naturalnością. Ale cóż robić? musi ją przestąpić ten, kto po Barbarze lub tłumaczeniach Osińskiego występuje na scenę. Otóż to w téj naturalności najwięcéj uchybił tłumacz, osobliwie w trzech ostatnich aktach pełno jest wyrazów nie stosownych i dobremu gustowi przeciwnych. Z wielu przykładów którebym mógł przytoczyć, wezmę piérwszy który sobie przypomnę.— Mahomet każe Zeidowi zabić Zopira, wzdryga się na tę myśl młodzieniec zniewolony miłem obejściem się cnotliwego starca. Wolter kładzie w usta Mahometowi:

Témeraire!

On dévient sacrilège lorsque l'on délibère.

Każdy na miejscu Mahometa to samoby powiedział, lecz u nas tłómacz mówi:

Zuchwalcze! Bóg słyszy!

Swiętokradztwo namysłom twoim towarzyszy.

Czyż jest co nie naturalniejszego nad drugi wiersz. Mógłbym jeszcze wiele przytoczyć przykładów, które słuchającemu jednéj tylko reprezentacji, przecież mo-

cno w pamięci utkwiły, czemby dopiéro w czytaniu to tłumaczenie wydawać się musiało? Co więcéj to słowo O sz u s t hojnie po wszystkich scenach rozsiane jest nie szlachetne na styl Trajedji. We Francuzkim *Imposteur* inne wcale wzbudza wyobrażenia.

Gotował się drugi na odpowiedź, ale dobry mój *M*, zbliżywszy się do mnie słuchać mi nie dał.

„Zapewne Pan Bywalski- rzekł do mnie ze zwykłą sobie wesołością: - myśli coś zbudować i przyszedł tu zbiérać sobie materjały".

Wskazałem mu na rozmawiających.

„Może myślisz opisywać osoby, które tu ujrzysz i jak w latarni magicznéj wystawiać figurki jedne piękniejsze od drugich. Ach zmiłuj się daj temu pokój. Te figurki mechaniczne dobre w balecie, w pismach nas już nudzić zaczęły. Pamiętasz co to było kiedy Szanowny Konfrater Wielebnéj Gazety Warszawskiéj uraczał nas ledwo nie co tydzień Galerją obrazów, a co gorsza zagranicznych".

„Ale on tylko naśladował, i przystosował do naszych zwyczajów".

M. Tak jest, jemu za złe brać tego nie można Trzeba owszem wielbić ochotę. Wie on że dobroczynna rządu opieka chce z Warszawy zrobić nowy Paryż, przeto w dobréj wierze już *anticipando* jak Paryżanów nas opisuje. - Ale, ale, mam ci tu coś nowego pokazać.

To mówiąc odczytał mi szczególne pisemko pod tytułem: O s p o s o b a c h n a b y c i a s ł a w y i s t o p n i

w Możnowładztwie Literackiém.

Miała ona być czytaną na sekretnem Posiedzeniu pewnego Zgromadzenia uprzywilejowanych uczonych, potem ułożona w projekt do prawa i większością głosów sankcjonowaną została. Przypadkiem podsłuchał jéj M, co spamiętał to kładę.

„O wy! którym najwyższe przeznaczenie dozwoliło wejść na stopień uprzywilejowanych uczonych, pomnijcie na to, że w was jedynie polega skład prawdziwego światła. Wy możecie je podług woli w cudzych mózgach wzniecać lub gasić. Wasze tchnienie może i niemą bryłę ogniem gienjuszu ożywić a gienjusz w proch obrócić. Wy wiecie wszystko co jest, co było, co będzie. Starajcie się zachować to monopoljum rozumu, które wam lata zasług zdobyły. Zatrzymajcie i zostawcie je jako najświętsze dziedzictwo potomnym, których z grona światowych wybrać raczycie. Niech zawsze hasłem waszem będzie:

Nul n'aura de l'esprit que nous et nos amis

Niech niepoświęconym nie będzie wolno bezkarnie mieć talenta i starać się o wyższą doskonałość. - Tym tylko pozwólcie używania rozumu, którzy was na klęczkach żebrać o to będą, którzy przysięgną zachowywać we wszystkim przepisy wasze, których jedynym zamiarem będzie zarabiać na korzyść i sławę waszą.

W tym to celu przynoszę wam projekt do prawa, który jeden wziętość waszą, i wiecznotrwałość zasług utrzymać zdoła.

Wiadomo światu, że dla dobra i spokojności powszechnéj najlepsza forma Rządu jest gdy jeden Stan Wybranych rządzi drugiemi. Z tego to powodu kassujemy Rzeczpospolitą Literacką.- Odtąd władza w Państwie naukowém w naszém gronie polegać będzie. Żeby zaś i następcy nasi umieli bronić tych świętych prerogatyw, dajemy im rys sposobów nabywania sławy Literackiéj.

Zarzucamy na wieki sposoby już przestarzałe nabywania sławy, przez napisanie klassycznego dzieła, lub odkrycie użytecznéj prawdy.- Mocy obowiązującéj nabiérają sposoby będące teraz w modzie.

Naprzód przedawnienie *(præscriptio)* czyli sposób utrzymywania się bez zasług na stopniu Literata. Kto posiada ten sekret, kto umie łudząc publiczność obietnicami złotych gór, kto danemi wyjątkami uczyni nadzieję wielkiego dzieła, nie myśląc wcale opisaniu jego, taki ma prawo żądać przypuszczenia do naszego grona. Próżno by jaki śmiałek chciał mu zaprzeczać stopnia literata. Dość jest uchodzić za uczonego aby być uczonym.

Drugi sposób jest Dedykowanie dzieł swoich. Ktoby się odważył zganić rzecz któremu z nas poświęconą i naszym zaszczyconą imieniem, na takiego przeznacza się kara, jak za naruszenie pieczęci rządowej.

Trzeci sposób jest ofiarowanie *(Donatio)* pisma swego na jaki chwalebny Instytut. Pisarz dzieło

swoje tak poświęcający, choć by był najmierniejszym stawia się pod tarczą Moralności, i zganionym być nie może.

Czwarty sposób jest kupno i przedaż *(Emptio et venditio)*. To rozumieć ma się dwojako: albo kupuje się cudze dzieło i udaje za swoje, albo kupuje się cudza pochwała, a to albo wzajemnością, albo monetą w kraju kurs mającą.

Piąty sposób przez Zapis *(Testamentum)* to jest przez pośmiertne dopiéro wydanie dzieła swego, i zlecenie wydania jego jakiemu znanemu w Literaturze mężowi, które go imie solidarnie wtedy za dobroć dzieła odpowiada.

Szósty sposób przez *(Ususfructus)* użyteczne dzieł czytanie. Ten sposób dzieli się na szczególny *(singularis)* gdy autor z wielu dzieł, jedne swoje sklei. — i na powszechny *(universalis)*, gdy ogólnie cudze dzieło uda za swoje.

Te są sposoby wejścia do Towarzysta Uprzywilejowanych uczonych. Przedawnienie jest pierwszym i koniecznym środkiem. Bez przedawnienia nie można dostąpić stopnia najwyższéj oświaty.

Bywalski.

Słowo Logogryfu w przeszłym numerze umieszczonego jest Matylda, a Zagadki Portret.